

Wywiad z Panem Jerzym Dziurzyńskim /rocznik 1930/

Joanna Klajmon: Rozmawiamy z Jerzym Dziurzyńskim, naszym wujkiem, który wczoraj obchodził swoje 89 urodziny. Cieszymy się, że się spotkaliśmy z tej okazji. Chcemy Cię zapytać o rok 1939.

Jerzy Dziurzyński: 39 rok. Dopiero 14 września kończyłem 9 lat. Wojna zastała mnie jeszcze w wieku lat ośmiu. Byłem na wakacjach w góralskiej wsi Rogoźnik, stamtąd pierwszego września miałem pojechać do Krynicy, bo w Krynicy była moja szkoła podstawowa, czyli powszechna. Pierwszego września wyszedłem razem z moją ciotką na pociąg do Ludźmierza, no ale okazało się, że tego dnia Niemcy uderzyli wcześniej rano na Polskę, również z tej strony gdzie byliśmy. I wtedy zamiast szkoły nastąpiła nasza ewakuacja wagonem bydłowym, gdzie nas zapakowano i wywieziono w kierunku wschodnim. Uciekaliśmy przed Niemcami.

J.K.: Czyli szkoła się nie rozpoczęła.

J.D. Szkoła się nie rozpoczęła. Pociąg z Krynicy zabierał również różną aparaturę uzdrowiskową, nawet wanny miedziane. Przez czternaście dni jechaliśmy tym pociągiem na wschód. Dojechaliśmy do Lwowa. We Lwowie było niebezpiecznie, nie pozwolono nam wysiąść ze względu na antypolskie nastroje. Pojechaliśmy więc jeszcze dalej i wysiedliśmy w miejscowości Podhajce. Tam nas wyrzucono z pociągu i kazano rozejść się po okolicy. My trafiliśmy do miejscowości nieopodal, do gospodarza, który miał ziemię, bydełko i całe gospodarstwo. Pasłem tam krowy i pomagałem w różnych pracach przez jakiś czas. Po paru tygodniach wróciliśmy przez granicę na Bugu – granica rosyjsko – niemiecka przebiegała wtedy na Bugu. Stamtąd dojechaliśmy do Nowego Sącza i tam przeżyłem okupację.

J.K.: Czy w czasie tego wojennego czasu miałeś okazję chodzić do szkoły?

J.D.: Tak. Chodziłem do polsko-niemieckiej, sześcioklasowej szkoły. Po jej ukończeniu dostałem świadectwo w języku niemieckim i polskim. Nie było na nim historii, były przede wszystkim różne przedmioty praktyczne. Potem trafiłem do specjalnej służby, Niemcy prowadzili prace przy rowach przeciwpancernych i przy wałach przeciwpowodziowych i zatrudnili nas, młodzież polską do tych prac. Pracowaliśmy tak aż do czasu, kiedy w styczniu 1945 roku (bodajże 17 stycznia), zaatakowały wojska sprzymierzone. Cieszyliśmy się z takiego obrotu sprawy oczywiście. Tego dnia jednak o piątej rano eksplodowała amunicja i materiały wybuchowe zgromadzone na starym zamku w Nowym Sączu. Zamek został zniszczony w dwóch trzecich i jednocześnie zasypał konne tabory niemieckie. Był to straszny widok. Pod skałami leżeli i ludzie, i konie, niektórzy żyli jeszcze.

Wtedy wraz z moim wujkiem poszliśmy 18 km na zachód do małej miejscowości Łososina nad rzeką Łososiną. Tam zatrzymaliśmy się w czteroklasowej szkole wiejskiej. Moja ciotka była tam nauczycielką, dyrektorem. Właściwie wszystkim była w tej szkole. Tam nas zastali żołnierze radzieccy. Przyjechali tam ze swoimi czołgami, armatami. Jeżeli nie byli pijani, to byli bardzo przyjemni.

J.K.: Powiedz nam, kiedy mogłeś dokończyć swoją przerwana edukację?

J.D.: Można powiedzieć, że podstawówkę miałem już skończoną. Ale jeszcze za okupacji, w 44 roku, dostałem się na tajne komplety, które prowadzili ojcowie Jezuici. Przechodziliśmy przez kościół, potem boczną furką do klasztoru Jezuitów i tam mieliśmy normalną szkołę. Tam skończyłem pierwszą klasę gimnazjum. A drugą robiłem już po wyzwoleniu. Wtedy

zrobiłem trzy klasy gimnazjalne. Było to bardzo przyjemne, dlatego że profesorowie, którzy nas uczyli, to byli ludzie przedwojenni, mający ogromną wiedzę. Trzeba przyznać, że byliśmy dobrze uczeni, co doceniłiśmy, kiedy szliśmy dalej, do liceum.

Kiedy skończyłem gimnazjum, wyjechałem z kolegą na zachód (a wtedy to był dziki zachód). Zatrzymaliśmy się aż w Legnicy. Wracaliśmy potem, śpiąc gdziekolwiek, w pustych mieszkaniach, gdyż dużo Niemców puciekowało, nie było nikogo. W ten sposób znalazłem się w Zabrze, gdzie przez zupełny przypadek zobaczyłem ogłoszenie o zapisach do liceum. Zapisałem się – jak to się mówi – z głupia frant i dowiedziałem się, że za dwa dni ma być egzamin. Było wesoło, bo przyszedłszy na egzamin, pomyliłem piętra i drzwi i trafiłem na egzamin do szkoły podstawowej. Zorientowałem się zaraz, po poziomie zadań. Szybko znalazłem właściwą salę.

W liceum spędziłem następne lata. To było liceum mechaniczne, które dawało nie tylko maturę, ale również zawód. Po skończeniu liceum, w roku 1951, dostałem tzw. nakaz pracy. Pracowałem w przedsiębiorstwie w Chorzowie. Tam spędziłem jakiś czas, awansowałem, zajmowałem się również różnymi wynalazkami. Bardzo dobrze mi to wychodziło. Pracowałem potem dla ministerstwa górnictwa i energetyki gdzie byłem specjalistą do spraw energetyki. W międzyczasie oczywiście życie prywatne: ożeniłem się ze wspaniałą dziewczyną, mam troje dzieci.

J.K.: Na koniec proszę nam powiedzieć co byś powiedział dzisiejszym dzieciom, które pierwszego września zaczynają szkołę.

J.D.: Powiedziałbym, że obecną pierwszą klasę od mojej dzieli przepaść. Życie idzie do przodu, jest bardziej uprzemysłowione i zmechanizowane, ale nie można zapominać o przedmiotach pięknych: nauce o ojczyźnie i świecie, literaturze, szczególnie polskiej – należy się z nią zapoznać, bo to też historia. No i wreszcie: trzeba tę Polskę kochać. To jest ważne.

J.K.: Bardzo dziękujemy za Twoje piękne opowiadanie.

/ Wywiad przeprowadziła Pani Joanna Klajmon, nauczycielka języka angielskiego w Szkole Podstawowej nr 28 w Gliwicach./

Wywiad z Panią Zofią Wójcik /rocznik 1930/

Roksana: Babciu, ile miałaś lat, kiedy rozpoczęła się wojna?

Prababcia: Urodziłam się w sierpniu 1930 roku. Kiedy wojna się zaczęła, miałam 9 lat. Byłam małym dzieckiem.

Roksana: Co najbardziej zapamiętałaś z początków wojny?

Prababcia: Przez pierwszy tydzień wojny musiałam spać z rodziną w lesie, bo przez naszą wioskę szedł front. Jechały czołgi i szło wojsko.

Roksana: Twoi bracia poszli na wojnę ?

Prababcia: Nie, oni chodzili do technikum w Radomiu. Gdy wybuchła wojna, to musieli uciekać pieszo z Radomia do Bliźyna, to około 50 km.

Roksana: Czy Twoi rodzice pracowali?

Prababcia: Mój tata mówił, że - wojna czy nie wojna - do pracy trzeba iść. Pracował w zakładach metalowych w Skarżysku-Kamiennej. Tego, kto nie pracował i się "wałęsał", uważano za bandytę. Moja mama była mądrą kobietą i oprócz zajmowania się domem i nami uczyła też dzieci na wiosce.

Roksana: Dziękuję ,Babciu, za rozmowę. Wiem, że jesteś już zmęczona.

/wywiad z Prababcią przeprowadziła Roksana Ługowska, uczennica klasy VI Szkoły Podstawowej nr 28 w Gliwicach/